

Z widokiem na WTC



Dr STANISŁAW NAZALEWICZ, geodeta i fotografik, mówi o swoim wyjeździe do Ameryki, pomiarach uskoku San Andreas w Kalifornii i pasji fotografowania, która latem ubiegłego roku zaowocowała wystawą zdjęć World Trade Center na Politechnice Warszawskiej

KATARZYNA PAKUŁA-KWIECIŃSKA: Jak doszło do zorganizowania wystawy pana prac na Politechnice Warszawskiej?

STANISŁAW NAZALEWICZ: Zdecydował przypadek. Przy okazji jubileuszu 80-lecia profesorów Janusza Śledzińskiego i Zdzisława Adamczewskiego poznałem rektora Politechniki Warszawskiej prof. Włodzimierza Kurnika, który zainteresował się moją fotografią. Po jakimś czasie wręczyłem mu dwa albumy mojego autorstwa „Dianne Verhmeer. Abstract Painting. Reflecting on time 1980-2000” oraz „World Trade Center 1971-2001”. Po ich obejrzeniu rektor zaproponował mi zorganizowanie wystawy moich fotografii i malarstwa mojej żony. Początkowo widziałem same przeszkody. Jak zagospodarować ogromną przestrzeń Dużej Auli? Jak eksponować obrazy w miejscu, w którym brakuje intymnej atmosfery galerii? Pomyślałem, że same fotografie też znikną. Wtedy zdecydowałem się zaprosić do współpracy prof. Piusa Ciapała, malarza. Znałem jego bardzo ekspresyjne, wielkich formatów obrazy WTC, malowane w latach 80. w Nowym Jorku. Wróciłem z tym pomysłem do rektora, który zaakceptował moją propozycję.

Z Politechniką Warszawską miał pan już jednak znacznie wcześniejsze związki. Ukończył pan na tej uczelni studia geodezyjne, a następnie obronił pracę doktorską. Czego dotyczył doktorat?

Przez wiele lat pracowałem w USA w geodezji i nie myślałem o tytułach naukowych. W 1991 roku, będąc na konferencji na Ohio State University w Co-

lumbus, spotkałem profesorów Janusza Śledzińskiego i Jerzego Rogowskiego z Politechniki Warszawskiej. Potem zaprosiłem ich do siebie do Nowego Jorku i rozmawialiśmy o projektach, które realizowałem z wykorzystaniem nowej technologii GPS już od 1989 roku. Wówczas system GPS był jeszcze w budowie i składał się z 6 satelitów, a obserwacje statyczne można było wykonywać tylko przez blisko dwie godziny na dobę. Pierwszy projekt GPS-owski zrealizowałem, korzystając z doświadczenia dr. Jamesa Collinsa, byłego dyrektora National Geodetic Survey, który jako pierwszy w sektorze prywatnym używał GPS. Kiedy spotkałem się z profesorami z Polski, miałem już na swoim koncie kilka dużych projektów GPS. Na przykład sieć punktów pokrywającą Orange County w stanie New York. W terenie bardzo zróżnicowanym topograficznie na obszarze 2160 km² zastabilizowano 200 punktów GPS, dla których z obserwacji statycznych wyznaczono współrzędne X, Y, Z. Inny projekt to sieć Parsippany-Troy Hills Township w stanie New Jersey, 45 km na zachód od Nowego Jorku. Na powierzchni 200 km² metodą statyczną wyznaczono współrzędne X, Y, Z dla 140 punktów GPS.

Na obu tych projektach wszystkie punkty GPS miały również wyznaczone wysokości ortometryczne przy użyciu niwelacji precyzyjnej. Zachęcony i zmobilizowany przez profesorów Śledzińskiego i Rogowskiego, mając duży materiał porównawczy, zająłem się w pracy doktorskiej ustaleniem, jak wiele punktów sieci GPS powinno mieć wyznaczo-

Dr STANISŁAW NAZALEWICZ, pseudonim artystyczny Stan Atawa, ur. w 1944 r. W 1970 r. ukończył studia na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Od 1971 r. przez 32 lata mieszkał w Nowym Jorku i prowadził firmę geodezyjną zajmującą się m.in. pomiarami ruchów skorupy ziemskiej. Po zakończeniu kariery zawodowej w 2003 r. wrócił do Polski. Laureat licznych nagród w międzynarodowych konkursach fotograficznych.

ną wysokość ortometryczną i jak powinny one być rozłożone w stosunku do całej sieci, żeby uzyskać jak najdokładniejsze wysokości ortometryczne ze statycznych obserwacji GPS dla pozostałych punktów sieci. Chodziło o jak najlepsze oddanie zmian geoidy, bo precyzyjnego modelu geoidy w 1990 roku jeszcze nie było. Praca zatytułowana była „GPS Carrier-Phase Measurements and Height Determination”.

Dlaczego po studiach wyjechał pan do USA?

W latach 60. i 70. wyjazdy zagraniczne były bardzo utrudnione. Ja od 1960 roku jeździłem po Europie, bo byłem w reprezentacji Polski juniorów w rzucie dyskiem. Dzięki temu zobaczyłem inny świat i on mi się bardzo podobał. Już przed maturą myślałem o pozostaniu we Francji. Mama była przerażona, bo wróżyła mi, że bez wykształcenia będę zamiatał ulice Paryża. Co innego po studiach – mówiła. U mnie w domu uważano, że komuna to



najgorsze zło tego świata. Moja rodzina była niszczone po wojnie przez władzę ludową dekretami przymusowego upaństwowienia.

I jak wyrwał się pan z Polski?

Pod koniec 1969 roku, gdy przygotowywałem się do obrony pracy magisterskiej, ogłoszono konkurs fotograficzny „Stolice świata”. Wysłałem sześć zdjęć Paryża i wygrałem pierwszą nagrodę, którą była dwutygodniowa wycieczka do jednego z krajów demokracji ludowej. Natychmiast pomyślałem o Jugosławii, bo stamtąd było blisko do włoskiego Triestu. Najbliższy możliwy termin wyjazdu był w czerwcu 1970 r., przełożyłem więc obronę pracy magisterskiej na początek maja i w ciągu miesiąca udało mi się odebrać dyplom. Ale mój starszy brat też chciał wyjechać. Jego zakład pracy dysponował jednym miejscem na wycieczkę do Jugosławii. Tak się złożyło, że mieliśmy w Banja Luce daleką rodzinę, z którą od czasu wojny nie było żadnego kontaktu. Nosili to samo nazwisko co my i mieli przed wojną fabrykę lokomotyw, którą, nawiasem mówiąc, komuna też upaństwowiła.

Jak udało się wam nawiązać z nimi kontakt?

W 1969 roku w Banja Luce było trzęsienie ziemi. Brat powiedział w pracy, że chce jechać, żeby pomóc rodzinie w odbudowie po katastrofie. I dostał to jedyne miejsce! Wyjeżdżaliśmy tego samego dnia. O 10 rano brat autobusem spod Pałacu Kultury, a ja o 12 w południe pociągiem z moją wycieczką. Mieliśmy się spotkać w Splicie za dwa tygodnie. Brat dotarł do rodziny, przyjęli go bardzo serdecznie. Powiedział, że jest ze mną umówiony i że chcemy jechać do Włoch, ale nie mamy paszportów. Obydwaj byliśmy na dwóch różnych tzw. paszportach zbiorowych. Opracowaliśmy plan przekroczenia granicy. Postanowiliśmy skorzystać z małego przejścia granicznego używanego głównie przez miejscową ludność. Po dwóch stronach granicy, mniej więcej w odległości 60 metrów, były dwa szlabany, a przy każdym po dwóch pograniczników. Mieliśmy udawać Włochów, którzy wracają z plaży po jugosłowiańskiej stronie, w tenisówkach, z ręcznikiem na ramieniu. Kupiłem plastikową okładkę z napisem Passaporto

Italiano, w środku umieściłem przyciętą do formatu okładki broszurkę na temat pierwszej pomocy medycznej, bo taką akurat miałem i była odpowiedniej grubości. Całość zakleiłem taśmą przezroczystą, żeby jugosłowiański strażnik nie mógł się od razu zorientować, co trzyma w rękach. Mieliśmy jeszcze włączone małe radyjko z włoską muzyką. Idziemy więc śmiało, mówimy *buon giorno*, dajemy mu do ręki „paszport” i w nogi! A tu po drugiej stronie granicy stoi trzech facetów, bo okazało się, że jeden z jugosłowiańskich strażników przyszedł do Włochów na pogawędkę! Ten z tyłu zaczął krzyczeć, więc ten z przodu próbował nas zatrzymać: Wracamy, wracamy! Ja na to odpowiadam: *No, asilo politico*. Włoscy strażnicy zaczęli bić brawo i powiedzieli: *chodźcie z nami!*

We Włoszech przesiedzieliśmy w obozie dla uchodźców prawie rok. Myślałem o wyjeździe do Francji, bo uczyłem się francuskiego, ale Francuzi nie przyjmowali uchodźców, w ogóle nikt w Europie nas nie chciał. Pozostał nam wybór: Australia, USA, Kanada. Zdecydowaliśmy się na USA i bardzo dobrze, bo to wspa-



Pomiary uskoku San Andreas w Kalifornii, lata 80. Wzdłuż celowej samolot rejestruje parametry do wprowadzenia poprawki atmosferycznej

niały kraj. Dwa miesiące przed nami poleciał z obozu do Nowego Jorku znajomy redaktor. I on załatwił mi pierwsze zajęcie. Trzy dni po przyjeździe do Ameryki już pracowałem w gazecie w Nowym Jorku jako fotograf.

Ale nie znał pan języka.

To prawda, ale dobra passa mnie nie opuszczała. Kilka miesięcy później prezesowi pewnej fundacji zrobiłem zdjęcie, które trafiło na okładkę, i on w ramach podziękowania zaprosił mnie na rozmowę. Wtedy dowiedział się że jestem inżynierem, lecz nie pracuję w zawodzie, bo nie znam angielskiego. W rezultacie zawartej znajomości jego fundacja opłaciła mi kurs angielskiego na Uniwersytecie Columbia. Trzy miesiące po osiem godzin dziennie za trzy tysiące dolarów. To była wielka pomoc, bo w 1971 roku nowiutka toyota corolla kosztowała 2200 dolarów. Kurs był bardzo dobry. Siedem osób w grupie: czterech Japończyków, Peruwianka, Turek i ja. I nikt nie znał angielskiego. Dostaliśmy tam niezłą szkołę, ale były efekty. Po skończeniu kursu wyszedłem kiedyś z domu i patrzę, że jakiś chłopak podjechał nowym porsche. Cześć, cześć, mówię mu, że ma fajny samochód; miło nam się rozmawiało, oczywiście po angielsku. On powiedział, że nadzoruje po sąsiedzku wykonanie dużej roboty związanej z wymianą urządzeń podziemnych, na-

wierzchni ulic i chodników. Był umówiony na lunch ze swoim szefem, który miał przyjechać ze stanu Connecticut, gdzie mieściła się siedziba firmy. I tak od słowa do słowa zaprosił mnie na lunch ze swoim szefem, który miał na imię Bob. A ten Bob w czasie spotkania głośno zastanawiał się, czy powinien już teraz dać ogłoszenie do lokalnej prasy, że potrzebuje *resident engineer*, czyli kolejnego inżyniera nadzoru, bo w ciągu miesiąca rozpocznie inny duży projekt: budowę drogi z zakładaniem nowej kanalizacji, wodociągu, przyłączami gazowymi itd. Przeprosiłem ich na chwilę, pobiegłem do domu po moje CV, szef je przeczytał i pyta mnie: Stan, chcesz tę pracę? Ja mówię, chcę. No to jest twoja! Tak trafił mi się kontrakt na dwa i pół roku.

Przecież nie miał pan doświadczenia! Nie przestraszył się pan tej roboty?

Żadnego doświadczenia, ale do odważnych świat należy. Bałem się tylko jednej rzeczy. Ponieważ siedziba firmy była w innym stanie, większość ustaleń robiliśmy telefonicznie i jeśli czegoś bym nie zrozumiał, mogło dojść do poważnych kłopotów. Dlatego każdą rozmowę nagrywałem. W razie potrzeby mogłem liczyć na pomoc żony, która znała doskonale angielski. Ale to okazało się zbędne.

Projekt dobiegał jednak końca i następny mógł być na drugim krańcu USA, a ja nie chciałem oddalać się od Nowego Jor-

ku. Zacząłem więc interesować się, gdzie jest ta prawdziwa geodezja amerykańska, bo nie chciałem zajmować się miernictwem, czyli tyczeniem działek albo mierzaniem przyłączy. Interesowała mnie geodezja wyższa. Moi współpracownicy w Ameryce nie bardzo kojarzyli, o co chodzi z tą geodezją, wreszcie jeden wspomniał o National Geodetic Survey – agencji rządowej w Waszyngtonie. I tam się kiedyś wybrałem. Odbylem ciekawą rozmowę z samym szefem NGS, z którym, nawiasem mówiąc, w latach 80. zaprzyjaźniłem się, a po kilku następnych wizytach wyrobiłem sobie obraz amerykańskiej służby geodezyjnej. Amerykanie nie mają uprzedzeń w stosunku do obcokrajowców. Mój akcent wskazywał przecież, że nie jestem Amerykaninem, mimo to chcieli mnie zatrudnić, jak tylko otrzymam obywatelstwo.

Potrzebne były jakieś uprawnienia zawodowe?

O to samo ich pytałem. A dla kogo? – odpowiedzieli. W 1973 roku w USA było 400 geodetów i wszyscy pracowali w agencjach rządowych (National Geodetic Survey, US Geological Survey i Defence Mapping Agency). Dla kogo więc robić jakieś uprawnienia?

Ja postanowiłem jednak pójść własną drogą. W 1976 roku, kiedy zajmowałem się jeszcze tym projektem budowlanym, zarejestrowałem firmę geodezyjną i na-

zwałem ją American Geodetic Survey Co. Inc. Miałem, co prawda, zerowe doświadczenie, ale wiedziałem już, jak to wszystko działa. Organizowano konkursy ofert, w których cena nie była czynnikiem decydującym. Określano, co trzeba zrobić, ale nie mówiono, jak, czym itd. I to właśnie była moja szansa: oferta techniczna zwykle w 80% decydowała o przyznaniu kontraktu. W jednym z pierwszych projektów, do których się zgłosiłem, agencja US Geological Survey potrzebowała zagęszczenia osnowy niwelacyjnej na Cape Cod w stanie Massachusetts. Kupiłem dla tego terenu dokładne mapy topograficzne, połączyłem je w jedną planszę wielkości ściany, wyszukałem repery, zaprojektowałem ciągi niwelacyjne, lokalizacje nowych reperów i wszystko pięknie i kolorowo wyrysowałem. W komisji przetargowej zwykle jest dwóch specjalistów, ale większość to osoby spoza branży. A dla nich wizualizacja tej sieci na Cape Cod była przekonywająca, dostałem więc maksymalną liczbę punktów i zlecenie. Zanim skończyłem pierwsze, czekało na mnie już następne. Po każdym projekcie osoba nadzorująca ze strony zleceniodawcy pisała raport z oceną, czy praca została wykonana terminowo, czy jakość była dobra, czy komunikacja przebiegała prawidłowo itd. Informacje te gromadzono w systemie komputerowym dostępnym dla wszystkich agencji rządowych, łatwo więc można było sprawdzić, jak kto się spisał w poprzednim projekcie i czy można mu ewentualnie powierzyć nowe zadanie.

Czyli po kilku dobrze zrobionych robotach miał pan otwartą drogę.

Nawet w przetargach, w których były wysokie wymagania, jak posiadanie samolotu z odpowiednią siłą ciągu, helikoptera lub określonej liczby samochodów z napędem na cztery koła, wygrywałem z firmami, które miały znacznie więcej sprzętu i zatrudniały setki ludzi. Zleceniodawcom podobało się, że jestem geodetą (*geodesist*), a nie mierniczym (*land surveyor*), i to z Polski, bo wiedzieli, że rosyjska geodezja stoi wysoko, a Polska leży przecież gdzieś blisko Rosji. Ciągłe pamiętali, kto pierwszy wprowadził na orbitę sztucznego satelitę Ziemi.

Ale liczyły się też takie detale, jak adres siedziby firmy. Początkowo wynajmowałem biuro na prestiżowej Park Avenue na Manhattanie, choć miałem tam tylko jeden pokój. Później, w 1978 r., kupiłem zabytkową czteropiętrową kamienicę i przeniósłem do niej biuro.

To chyba interesy szły niezłe, skoro po dwóch latach kupił pan taką nieruchomość.

Kamienicę kupiłem za pieniądze z jednego projektu zrealizowanego w stanie Kentucky. Ale jaki to był projekt! Na wykonanie pracy mieliśmy 60 dni kalendarzowych. Jedziemy na robotę, a tam zima stulecia! Temperatura minus 30 stopni, rzeka Ohio skuta lodem i pół metra śniegu. Dwa tygodnie czekaliśmy na poprawę pogody, a i tak udało się zakończyć prace w terminie.

Jak firma rozwijała się pod względem sprzętu i personelu?

Zacynałem od jednego teodolitu Wild T2, niwelatora Wild NAK-2 i dwóch ludzi. Zawsze miałem najlepszy sprzęt i nigdy nie zatrudniałem więcej niż 8 osób. Nie interesowała mnie masowa produkcja, tylko zadania konsultingowe. W Arizonie mieliśmy dwa miesiące na wykonanie 160 km precyzyjnej niwelacji wzdłuż betonowanego sztucznego koryta rzeki, która doprowadzała wodę z Kolorado do tego suchego stanu. Konstrukcja koryta rzeki pękała na skutek pionowych ruchów ziemi. Założyliśmy 150 betonowych reperów. Jednego dnia znaczyliśmy lokalizację punktów, następnego pracownik wiercił w ziemi dziury maszyną Bobcat, następnie zalewaliśmy je betonem. Potem odbywał się pomiar. Robiły to trzy osoby! Niezbędna była umiejętność zarządzania. Praca była zrobiona na czas i za rozsądne pieniądze.

Którą z prac z tego okresu uważa pan za najbardziej prestiżową?

Myślę, że badanie w Kalifornii uskoku San Andreas, który ciągnie się od meksykańskiej granicy przez 1300 km w kierunku północnym, a za San Francisco wchodzi do Pacyfiku. To jest najbardziej badana formacja geologiczna na świecie. Nasze pomiary ruchów skorupy ziemskiej wykonane w 1980 r. miały pomóc w przewidywaniu trzęsień ziemi i być może w uratowaniu setek tysięcy ludzi. Projekt trwał osiem miesięcy.

To spore zadanie nawet w skali USA.

I bardzo ciekawe, kupiłem kamerę Bolex 16 mm, żeby nakręcić o tym film. Tyle tylko, że kilka dni przed końcem projektu zdałem sobie sprawę, że ani razu nie miałem czasu po nią sięgnąć. Byłem pochłonięty pracą, bo wiązały się z nią ogromne koszty. Wykorzystaliśmy samolot, helikopter, inne drogie urządzenia. Dobre planowanie było podstawą. Wstawałem o 5 rano i dzwoniłem na lotniska w promieniu 100 mil, by dowiedzieć się, jaka będzie pogoda, bo bez dobrej widoczności nie było sensu zaczynać.

Mierzyliliśmy odległości od 10 do 80 km między punktami na szczytach gór po obu stronach uskoku z dokładnością 1 cm. Żeby uzyskać takie rezultaty, używaliśmy dalmierza laserowego Geo-

dolite wykonanego na specjalne zamówienie przez firmę Spectra-Physics. Dwóch ludzi ustawiało taki instrument na odpowiednich rozmiarów statywie, bo ważył ok. 70 kg.

W czasie pomiarów występowały duże różnice temperatury: na dole mogło być plus 40 stopni, a na najwyższym punkcie na wysokości prawie 4 tys. metrów leżał śnieg. W związku z tym światło lasera przechodziło przez warstwy powietrza o różnej temperaturze, ciśnieniu, wilgotności itd. Żeby skorygować odczyt z instrumentu, samolot wyposażony w specjalne czujniki leciał wzdłuż celowej i rejestrował warunki atmosferyczne. Musiał sterować nim wysokiej klasy pilot, bo nie wolno było zejść z celowej więcej niż 3 m. W 1980 roku były to najdokładniejsze pomiary odległości na świecie. Teraz już oczywiście nikt tak nie mierzy, mamy GPS.

Jakie były różnice długości mierzonych po upływie roku?

Rzędu 2-2,5 cm, ale to nie był stały trend, bo płyty tektoniczne zbliżały się do siebie i po jakimś czasie oddalały. Do pomierzenia było 430 linii. Przemieszczyliśmy się co kilka dni do innej bazy, ale zawsze musieliśmy być blisko lotniska. Rano odbywało się tankowanie samolotu i helikoptera, ludzie z lustrami wyruszali na stanowiska. Instrument podwoziliśmy samochodem terenowym najbliżej, jak się dało, a dalej helikopterem, który często lądował na samym szczycie, w pobliżu punktu, choć bywało, że w ogóle nie mógł wylądować, tylko wisiał nad ziemią, a rozładunek odbywał się z powietrza.

Jak można było odszukać cel w odległości 80 km?

Dalmierz miał powiększenie 60-krotne, czyli prawie 3 razy większe niż przeciętny instrument. Ponadto nasze lustro składało się z 22 typowych pryzmatów. Ale to też czasami nie wystarczyło. Wszyscy mieliśmy łączność radiową, i jak nie mogliśmy odnaleźć celu, to prosiłymi pilota, żeby helikopter zawisł nad punktem (lustrem). Wtedy z reguły udawało się go zauważyć. Z jednego stanowiska mierzyliśmy 4-5 linii. Gdybym nie miał dobrego przygotowania psychicznego i fizycznego oraz potrzeby sprawdzenia się, trudno byłoby mi poradzić sobie z takimi projektami.

To takie amerykańskie podejście.

Ameryka jest dla młodych, zdrowych, silnych i zdeterminowanych ludzi. Wyjeżdżając, wiedziałem, że do Polski nie wrócę. Kto mógł wtedy przewidzieć, że komunizm przestanie istnieć? Ale wiedziałem także, że nie należy trzymać się Polonii, że muszą wejść w środowisko amerykańskie, zaaklimatyzować się.



Stanisław Nazalewicz obsługuje dalmierz laserowy skonstruowany do pomiarów uskoku San Andreas

To dlaczego pan wrócił, skoro wyjazd miał być na całe życie?

Wyznaję zasadę, że to, co powiem, jest tak samo ważne jak deklaracja pisemna, i tego się bezwzględnie trzymam. Kiedyś na studiach przed egzaminem z matematyki u prof. Tadeusza Wróbla-Trajdosa kolega żartował, że jeśli uda mu się zdać ten trudny egzamin, to pójdzie boszo do Częstochowy. Ja też w żartach powiedziałem, że poszedłbym, ale w butach. Śmialiśmy się. Ja zdałem i poszedłem sam. Było to w środku roku akademickiego i opuściłem tydzień zajęć. Dlaczego o tym mówię? Wspomniałem już, że kupiliśmy tę piękną, zabytkową kamienicę. Na bocznej ścianie wstawiłem duże panoramiczne okna, żeby mieć niczym niezakłócony widok na World Trade Center. Z łóżka w sypialni widziałem obie wieże, latające dookoła nich helikoptery, zachody słońca. Na niektórych moich zdjęciach to widać. Ale w drugiej połowie lat 80. zaczęto między nami a WTC budować Newport City, jakby odbicie Manhattanu. Któregoś dnia żona, patrząc przez okno, a był to rok 1987, powiedziała: zobacz, po lewej stronie wieżowiec już stoi, po prawej jest w budowie, jak powstanie coś na wprost, to stracimy ten widok. Powiedziałem wtedy, że jeśli tak się stanie, to będzie to znak, że nasz czas w Ameryce dobiegł końca.

I 11 września 2001 roku myśmy ten widok na zawsze stracili. Wtedy, pamiętając rozmowę sprzed 14 lat, podjęliśmy decyzję o powrocie do kraju. Trochę

czasu minęło, zanim sprzedałem dom, sfinalizowałem różne sprawy, i w maju 2003 roku przyjechaliśmy do Polski.

Nawiasem mówiąc, kilka dni po katastrofie miałem telefon z National Geodetic Survey z prośbą o przesłanie danych punktów osnowy, które mamy w tym rejonie, do wykorzystania jako punkty kontrolne dla planowanych nowych zdjęć fotogrametrycznych.

Z chwilą powrotu do Polski zakończył pan działalność w geodezji?

Tak, już mnie to nie interesuje. To jest takie naturalne zamknięcie pewnego etapu życia. Przez 27 lat, wykonując projekty geodezyjne, zjeździłem USA wzdłuż i wszerz. Nie wiem, czy 5 procent Amerykanów tak zna swój kraj, jak ja go poznałem. Poza Alaską pracowałem wszędzie, nawet w Puerto Rico.

Czy równoległe z karierą zawodową rozwijał pan swoją pasję fotograficzną?

Musiałem odłożyć hobby na bok, choć wygrałem kilka konkursów, także w Ameryce. Jako student byłem zafascynowany fotografią. W Ameryce po trzech miesiącach pobytu kupiłem sobie Hasselblada, który w Polsce był w tamtym czasie nieosiągalny. W 1975 r. ukradziono mi jednak całą torbę fotograficzną i znowu nie miałem nic. Ale w 1976 r. z okazji 200-lecia Stanów Zjednoczonych właśnie Hasselblad ogłosił światowy konkurs pod nazwą „USA today”. Chociaż wtedy zakładałem własną firmę i nie bardzo miałem głowę do takich

spraw, wysłałem na konkurs jedno czarno-białe zdjęcie formatu A4 i wygrałem aparat Hasselblada (*śmiech*).

Pamięta pan, co było na tym zdjęciu?

Oczywiście. Na dole Manhattanu, niedaleko Wall Street, sfotografowałem od dołu drzewo bez liści, a w perspektywie widać było wieżowce pnące się ku niebu. To było bardzo graficzne, czarno-białe zdjęcie, drzewo pragnęło światła, które zasłaniały te kolosy.

No i cały czas fotografował pan WTC.

Byłem tymi wieżami zafascynowany. One nie wyglądały jak pozostałe budynki. To były dwie ogromne, bardzo proste bryły, które dominowały nad miastem, reszta nie sięgała im nawet do połowy. Traktowałem je jak dużą nowoczesną rzeźbę i często fotografowałem. A widoki czasami były niesamowite. Pewnego dnia wstaję rano i czuję zapach spalenizny, wyglądam przez okno, widzę cały Manhattan w dymie. Okazało się, że paliły się tysiące zużytych opon składowanych na Staten Island. Uchwyciłem takie momenty, które widzi się raz w życiu. Mam tysiące zdjęć WTC, w moim albumie „World Trade Center 1971-2001” jest ich 125. Pierwsze zdjęcie zrobiłem w 1971 r., kiedy wieże były jeszcze w budowie, a ostatnie w 2001 r.

Jakie ma pan najbliższe plany artystyczne?

Jakie ma pan najbliższe plany artystyczne?

Fotografia jest moją pasją życiową. Artysta musi być wolny i spontaniczny. Fotografia to pomysł i jego realizacja. Teraz czekam na dostawę nowego Nikona D800 [rozmawialiśmy w lipcu 2012 r. – przyp. KPK]. Tym żyję, mam już pomysły, jak go wykorzystać. Przy okazji stałem się kolekcjonerem aparatów, bo kolejny nowy sprzęt powoduje, że poprzedni chowam do sejfu. We wrześniu 2013 roku w Nowym Jorku ma być otwarte nowe muzeum – The National September 11 Museum w strefie Ground Zero. Muzeum jest zainteresowane posiadaniem w swojej stałej kolekcji moich zdjęć WTC. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Rozmawiała Katarzyna Pakuła-Kwiecińska
Zdjęcia z archiwum Stanisława Nazalewicza
Zobacz więcej:

- geoforum.pl – film o pomiarach uskoku San Andreas oraz film WTC 23.11.1987
- youtube.com: stan atava – wideo z wystawy WTC na Politechnice Warszawskiej
- www.stanatava.com – zdjęcia WTC